№ 43. Warszawa, dnia 24 (12) Października 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Warszawa, we Wrześniu 1896 r.

Fanatyczni czciciele V-ej potęgi świata utrzymują z niezachwianą pewnością, że prasa to fotograficzne odbicie dążeń i kierunków danej społeczności, że kto się umie oryentować w tym kalejdoskopie wyobrażeń, sądów, przekonań i opinij, ten z prasy wielkomiejskiej i prowincyonalnej, poważnej, brukowej i humorystycznej odgadnie tętno narodu, stworzy sobie jego fizyognomię moralną, a nawet i o jego przyszłym rozwoju coś niecoś mógłby powiedzieć, gdyby go naciśnięto.

Gdyby tak istotnie być miało, to nie bez pewnej obawy musielibyśmy, na przykład my, oczekiwać swego wyroku ze strony tych, co nie znając nas zdaleka ani zblizka, zapragnęliby sobie wyrobić o nas sąd z tego, co się u nas pisze i drukuje. Tyle spotykamy bredzenia różnorodnego a samozwańczego w ostatnich czasach, tyle spokojnej śmiałości w wypowiadaniu najniemożebniejszych absurdów — nb. śmiałości nieskarconej, a więc upoważnionej niby do pewnego stopnia, że gdyby kto biednemu ogółowi cały ten balast na kark złożyć spróbował, i wedle niego sąd sformować o tem co mamy a czego nam brak — wypaśćby mogło, że nam poprostu brak w głowach piątej klepki.

Unikając tedy despektu podobnego, musimy chyba szukać sobie odwetu jakiegoś, a tym odwetem jest konieczne postawienie w stanie obwinienia tych pism, które bez wyboru, bez braku i krytyki drukują pierwszy lepszy zbiór nonsensów, w mniemaniu, że nie ma takiej sieczki, którejby nie strawił poczciwy organizm naszego czytelnika.

Te przykre uwagi nasunął nam pierwszy numer pisma, które się u nas ukazało przed paru tygodniami, a które zdradziło szczególną... dajmy na to — nieostrożność, dawszy miejsce feljetonowi zatytułowanemu: „Mądry Marcinek."

Feljeton przybył zdaleka i przyniósł czytelnikom wiązkę uwag i pomysłów pedagogicznych, których w wiązkę związać nie sposób, o których zrazu nie wie czytający czy ma je brać za jakąś wyrafinowaną ironią, czy naiwność, i dopiero ku końcowi przychodzi mu uwierzyć, że to ma wszystko być seryo i ku zbudowaniu ludzkiemu wypowiedzianem.

O cóż chodzi autorowi feljetonu?

Feljetonista przebrawszy się za pedagoga ubolewa, że nadchodzący rok nowy przyniesie znowu zasób wydawnictw dla dzieci, z których nietylko dzieci, ale i sam szatan pożytku nie wyciągnie żadnego. W których będą zawsze te same historye o sierocie przygarniętym przez litościwego człowieka, o Robinsonach Pacanowskich w połączeniu z całą zbieraniną wiadomości naukowych bez ładu i sensu, a to wszystko dla wyrobienia w charakterach mazgajowatej dobroczynności, albo rycerskości średniowiecznej.

Tymczasem ten cały pakiet pojęć nie przygotowywa do życia i o tem powinni wiedzieć rodzice. Ich obowiązkiem jest uprzedzać dziecko o tem, że skończyć uniwersytet, zostać lekarzem lub inżynierem, to jeszcze nic, bo ten lekarz na każdej ulicy spotka gotowych dziesięciu lekarzy, a ten inżynier zobaczy na każdym moście inżyniera takiego jak on.

Dajcie, rodzice, dziecku waszemu umiejętność zyskiwania sobie ludzi, nauczcie je tego co się zwie: *savoir vivre* i *savoir faire*, bo bez tego wszelkie uzdolnienie idzie w śmiecie — bez tego marniały, marnieją i marnieć zawsze będą miliony talentów.

Zamiast tego pedagogika, smętna nimfa, przygotowuje nową siekankę z chemii i nową podróż na księżyc. Nie tego trzeba dziecku.

Czegóż? zapytacie czytelnicy. Chwila cierpliwości! Pedagog reformator zaraz wam na to odpowie.

Dziecku trzeba w wydawnictwach gwiazdkowych mówić o pieniądzu, o pieniądzu i jeszcze o pieniądzu, a nie o tem jak Boleś daje jałmużnę kalece, a Maniusia składa grosz po groszu na węgiel dla biednej rodziny. Dziecku trzeba bajki o mądrym Marcinku, który od kolebki był oszczędnym, przemyślnym, który umiał zwąchać gdzie można zarobić, i który umiał sobie poradzić z kanalią wszelką.

Co do poznania się na kanalii, to i my Marcinkowi życzymy powodzenia, ale jak tu wszczepić Marcinkowi miłość mamony? Oto np. niechaj on ma jaką piękną ideę, mówi pedagog, niech zawczasu zbiera środki na wprowadzenie jej w życie; niech kształci umysł, charakter, serce, ale niech robi pieniądz przedewszystkiem, niech zbiera pieniądz. Wydawnictwo gwiazdkowe powinno zawierać np. Sto sposobów uczciwych zrobienia majątku, a taka wczesna lekcya finansowości będzie dla młodego umysłu o wiele zbawienniejszą niż powieści o Aleksandrach i Juliuszach Cezarach. Zawczasu trzeba dziecku wszczepić zarazek, który go uczyni niewrażliwym na choroby moralne, albowiem istnieje paręset(?) sposobów uczciwych zrobienia fortuny i kilka (?) sposobów złodziejskich, a dziecko musi wiedzieć, który wybrać należy. Nie powinien się lekarz społeczny wahać z zapisaniem podobnej recepty, albowiem i przy tej reformie pozostanie jeszcze społeczności aż nadto „rozczochranych czartów" (?)

No i cóż wy czytelniczki na to? Podobało się wam zapewne? I nam także, ale ponieważ radebyście panie wiedzieć zapewne kim jest autor, więc pominąwszy nazwisko, powiemy wam, że jest on powieściopisarzem, a że jak słyszycie zawodzi żale nad gangreną idealizmu, toczącą w tej

chwili jego społeczeństwo, więc wolno wam się domyśleć, że musi tam być sporo trzeźwej obserwacyi i zdrowych wnioskowań w utworach tego pana.

Teraz zapewne zamyśli się niejedna z matek, jakim to porządkiem rzeczy od powieściopisarstwa przechodzi się naraz tak sobie do pedagogii społecznej—niby zkąd assumpt, pretensya, kwalifikacye, boć wiadomo dobrze, że w tej pedagogii tyle dowolności przecież być nie może, a nadewszystko tyle fantazyi co w powieściopisarstwie, które ma już swoją pod tym względem ustaloną sławę.

Odpowiedzieć postaramy się krótko na to pytanie.

Tam gdzie filozof, psycholog i naturalista nie waha się poniewierać swoich prac poprzednich oddaniem pióra na usługi sportu i jego spraw, gdzie poważnem i poważanem nazwiskiem podpisują się artykuły takiej treści, która odkąd świat światem, ani jednej jeszcze poważnej głowy nie zajęła, tam siłą konieczności znaleźć się musi miejsce dla wszelkich wdzierań się nieusprawiedliwionych niczem, i wszelkich uzurpacyj.

Gdzie filozofowie radzą o trainingach, startach i pedagogii końskiej, tam naturalnem następstwem jest pozostawienie kardynalnych zagadnień pedagogicznych i społecznych, pierwszemu lepszemu z brzega, któremu się na ten temat gawędzić spodoba.

Tak powstają u nas pomysły do wychowania Marcinków, które mają tę własność szczególną, że wywołują naraz i śmiech i litość i oburzenie, a z których wolno rodzicom tę tylko przestrogę zatrzymać w pamięci, aby dziecku swemu zawczasu pokazywali gdzie są istotnie minusy społeczne i po czem je rozpoznać można.

A. S.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Nieskończonym smutkiem, przerażeniem jakiemś zaszły jej lica, uczuła się nagle bezsilną, głos jej zapierało w piersi, reszta energii i woli stopiła się w tem przerażeniu. Pożerała go bezwiednie istotą całą, zdawało się, że myśl jego w lot chwyta i pochłania, a on mówił podnosząc głos:

— Więc cię opuszczam, teraz już na zawsze, więcej mnie nie zobaczysz; oszczędzę ci walki. Wszak takie było twoje pragnienie serdeczne?

Jakby ją coś opanowało, jakaś nieznana siła, tchnienie jakieś owiało, szepnęła porywając go za obie ręce:

— Ty nie pojedziesz, bo ja cię zawsze kocham, bo ja cię zawsze kochałam, bo ja żyćbym bez ciebie nie potrafiła!

Pociągnięty za krzak pnących się ku górze spiryj uczuł na ustach swych gorący, płomienny pocałunek.

Po drugiej stronie jeziora, kukułka przeleciawszy z rozłożystego buku, którego gałęzie aż na samą powierzchnię wody spadały, na poblizki dąb, kukała i kukała bez przerwy, a wtórowały jej inne ptaki leśne pomieszanymi głosy.

Cienie drzew sunęły coraz więcej ku środkowi i zlewały się wierzchołkami zasłaniając coraz to mniejsze kółko promienne. Słońce zachodziło rozrzucając czerwone wiązki promieni, które ślizgając się między gałęźmi pozłacały zda się gąszcz liści zielonych. W słonecznem pasmie światła unosiły się całe roje komarów i muszek drobnych, brzęczących i szeleszczących bez przerwy. Wiaterek zupełnie ucichł, nawet wierzchołki drzew nieruchomo sterczały ku górze, jakby ujęte jakiemś odrętwieniem dziwnem. A wśród tego spokoju, brzęczenie owadów, świegot ptactwa i dolatujący przycichłem echem jakiś śpiew daleki, wracających z pola wieśniaków, łączył się w jedną niezmiernie głęboką, harmonijną muzykę, która już to cichnąc, już to głośniejąc nierówno brzmiała po całem uroczysku.

— Helciu, kochasz mię — szeptał Ohana patrząc czule w oczy umiłowanej kobiety, stojącej obok niego w zachwycie.

— Kocham, kocham.

— I zawsze mię kochać będziesz?

— Zawsze, inaczej być nie może.

— Zawsze jednako?

— Jednako do śmierci. Niech co chce będzie, miłować cię nie przestanę.

— A jego?

— Jego? Ja jego nigdy nie kochałam, wiesz o tem, ja jego szanowałam, przywiązałam się doń!

— A teraz?

— Teraz mam względem niego obowiązki, które spełnić muszę; wszak nie będziesz żądał, bym go się wyparła, zerwała z nim, porzuciła go?

Chmura czarnych myśli zawisła mu nad czołem jasnem, ona spostrzegła to i powtórzyła:

— Przecież tego wszystkiego żądać nie będziesz; wiesz, co mogę zrobić. Kocham, stało się, nie żałuję tego, boś mi życie razem z miłością swą wrócił...

Przerwał jej:

— Nie mówmy już o tem, los dalej rozrządzi życiem naszem, tylko mię kochaj. Przysięgnij mi, że kochać mnie i tylko mnie jednego będziesz. Przysięgnij!

— Przysięgam ci — mówiła i rękę kładła na sercu.

Odpowiedział z mocą i rękę jej silnie uścisnął.

Potem rozmawiali cicho, powtarzali sobie po raz setny wszystkie słowa czułe, wszystkie zapewnienia. Przypatrywali się w milczeniu ciemniejącemu powoli jezioru. I byliby tak życie całe prześnili, gdyby nie rozlegający się po lesie głosik cieniutki Zosi, szukającej matki.

Usłyszawszy to wołanie, Helena szepnęła Owanesowi:

— Zosia mnie szuka. Biedne dziecko, lepiej, żeby cię nie zobaczyła tutaj. Idź już! Jutro, jeżeli będzie można, znowu się tu zobaczymy. Tutaj tak pięknie, tak uroczo.

— Dobrze, idę; więc jutro. Szkoda, że to jutro nie jest dzisiaj.—Rzekł i żegnany jej wzrokiem zniknął w gąszczu spiryj.

Za chwilę z za drzewa wynurzyły się dwie sylwetki: Zosi i guwernantki. Dziewczyna niosła w ręku cały pęk bławatków, maków i kąkolów, bezładnie poplątanych. Za nią postępowała w pewnem oddaleniu Francuzka z koszyczkiem małeńkim w ręku. Obie były zmęczone, pot im obficie spływał z czoła, a policzki czerwonymi rumieńcami świeciły.

— Mamusiu, mamusiu — wołała Zosia,—nazbierałam już kwiatów dla tatunia. Biegałam po całem polu pszenicy z panną Różą. Prawda, że ładny się bukiet ułoży z tych bławatków i maków?

I przyglądała się uśmiechnięta pękowi uzbieranego kwiecia, cała uradowana i pełna szczęścia.

— O, tak zrobimy. Pośrodku konwalie, same konwalie, a po brzegach bławatki przetykane gdzieniegdzie kąkolami i makami.

— Ależ to będzie za jaskrawo! — zawołała matka,—bławatki poprzedzielane kąkolami i makami. Bój się Boga, Zosiu, co ty wygadujesz, już chyba dasz pokój kąkolom i makom.

— E, nie, mamusiu, nie. Ja wiem, co tatuś lubi, a zresztą zobaczymy, to już moja rzecz.

Powiedziała to z minką tak poważną, a tak zarazem naiwną, że Helena nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Pochwyciła córeczkę w objęcia i całując ją w pałające jeszcze policzki, rzekła:

— Rób, jak tam chcesz, jak ci się podoba, nie będę ci przeszkadzać.

Zosia spojrzała w tej chwili na matkę, a widząc ją wesołą, uśmiechniętą, uradowaną, nie mogła się powstrzymać od okrzyku.

— A to dobrze, że mamusia dziś wesoła, szczęśliwa, a taka mamusia była wczoraj smutna.

W oczach matki zabłysły płomienie upojenia; cisnęła córkę mocniej do siebie i słuchała jej szczebiotu:

— Wie mamusia, ja miałam przeczucie, że w tej Romanówce mamusia przestanie się smucić, i będzie wesołą. Dlatego też bardzo się ucieszyłam, kiedy mi mamusiu powiedziała, że pójdziemy dzisiaj do uroczyska. Tutaj tak ślicznie, tak ślicznie, jak nigdzie na świecie, prawda mamusiu?

— Prawda, prawda, Zosieczko. Tutaj cudownie — odszepnęła matka z uczuciem rzewnem w głosie.

— Ale to wieczór się zbliża, trzeba nam już wracać — dodała podnosząc z ziemi parasolkę i książkę porzuconą.

— Pewnie tatuś dzisiaj przyjedzie z Odessy, przywiezie mi jaki gościniec; ja się czegoś bardzo ładnego spodziewam.

Na te słowa twarz Heleny spochmurniała nagle. Zosia przypomniała jej znowu męża, którego obraz zakłócił w tej chwili spokój jej sumienia. Czuła dobrze, że od dnia dzisiejszego zaczęła nowy okres życia, nowy zupełnie, wabiący rozkoszą, ale pełen zarazem grozy tajemniczej.

W powrocie do domu spotkały gromadę parobków i dziewcząt mołdawskich. Szli oni drogą, z motykami na plecach, śpiewając chórem pieśń jakąś smętną, niby dola tego ludu, a monotonną niby step nagi. Melodya płynęła w dal, bo na stepie inaczej brzmi pieśń każda; tutaj ona swobodnie rozchodzi się dokoła, zda się płynie na skrzydłach wiatrów, które wolno, rytmicznie przenoszą ją w dalekie strony.

Za pagórkiem na wschodzie, u podnóża którego tuliła się wieś Teleszówka, gromada znikła a z nią przebrzmiał niebawem ostatni akord pieśni.

W domu zastała już pani Helena w kancelaryi męża. Siedział przy biurku na nizkim taborecie, i pilnie coś pisał; tak był tem zajęty, że nawet nie spostrzegł się, jak Zosia stanęła mu za plecami i przypatrywała się jego pracy. Chciała go zajść niespodzianie, myślała, że tatuś przeczuje jej obecność, odwróci się i pocałuje, ale nie, tatuś ciągle pisał, i nie odwracał się. Zniecierpliwiło ją to, chwyciła go nagle za szyję i całując wołała:

— Aha, aha, ani tatuś zauważył, jak weszłam tutaj.

— A wiesz, nie zauważyłem, tak się zająłem tem, co mam przed sobą.

Mówił i całował jedynaczkę, którą niezmiernie kochał.

— A gdzie mamusia? — pytał, biorąc Zosię na kolana.

— Mamusia zaraz przyjdzie. Byliśmy, wie tatuś, w Romanówce do tej pory, tak tam ładnie.

— Aż do tej pory, a cóżeście tam tak długo robiły?

— Ja zbierałam kwiatki na bukiet, a mamusia czytała książkę, potem szliśmy dosyć długo drogą, nie spieszyło nam się. Mamusia mówiła, że tatuś pewnie dzisiaj nie wróci, chociaż mnie się zdawało inaczej—i spojrzała na ojca z uśmiechem na drobnych koralowych ustach.

W tej chwili drzwi się otwarły. Do pokoju weszła Helena; na twarz zdołała już przywołać zwykły apatyczny wyraz. Szymonowicz powstał zaraz, i zbliżywszy się do żony pocałował ją czule w oba policzki, pytając, czy zdrowa.

— Jak zwykle — odpowiedziała.

— Nikt tu nie był podczas mojej nieobecności?

— Owanes Ohana przyjeżdżał z jakiemiś papierami, rachunkami. Wczoraj mi mówił, że nawet ma bardzo ważny interes do ciebie, że będzie musiał skutkiem tego za parę dni zawitać do Teleszówki.

— A to dobrze, dobrze! — Powtarzał Szymonowicz, siadając znowu na taburecie, a potem wziąwszy na kolana Zosię spytał żonę:

— Moja Helciu, mówisz, że Ohana wspomniał o jakimś ważnym interesie? Nie wdawał się w żadne szczegóły?

Helena uśmiechnęła się; już zupełnie zapanowała nad lekkiem wzruszeniem, co nią owładnęło.

— Mój drogi — odrzekła, — a cóż on by mi miał mówić o jakichś tam interesach; czy ja się znam na tem? Wątpię nawet, czybym umiała powtórzyć dokładnie.

— Tyś zawsze taka sama — mówił z uśmiechem dobrodusznym, głaszcząc złotawe kędziorki córeczki. — Ormianką się urodziłaś, a sprytu ormiańskiego za grosz nie masz.

Kiedy to mówił w oczach młodej kobiety zabłysł na chwilę ironiczny cień uśmiechu, i znikł natychmiast. Szymonowicz tego nie dostrzegł, bawił się w dalszym ciągu włosami Zosi, rozmawiając wesoło z żoną i córką.

Po kolacyi, gdy zostali sami, Zosia już spała w dziecinnym pokoju, Szymonowicz siadając na kanapie obok żony, odezwał się:

— Wiesz ty, Helciu, co za świetny interes zrobiliśmy przez założenie tego zbiorowego towarzystwa, powiadam ci, że nic lepszego wymyślić nie było można. Wyobraź sobie, na każdym transporcie wysłanej do Odessy pszenicy, zyskujemy o jakie dwa procent więcej aniżeli w latach dawnych. Tak, że jeżeli miałem, dajmy na to, z Teleszówki w roku przeszłym i zaprzeszłym po piętnaście tysięcy czystego dochodu, to w tym roku przybędzie mi pięć tysięcy niezależnie od ceny, która przecież zapowiada się lepiej.

— To znakomicie — odrzekła Helena, poprawiając sobie fałdy jasnego szlafroczka, który zręcznie opinał jej szykowną postać. — Znakomicie — powtórzyła. — A widzisz, że ten Ohana to nie byle co. Chociaż zapomniał o Bessarabii, potrafił się jednak tak prędko zoryentować w sytuacyi, że odrazu znalazł sposób na wasze pieniężne dolegliwości.

— Prawda, to dzielny człowiek. Głowa nie lada, wszyscy go też podziwiają tutaj, a i w Odessie go znają — mówił nachylając się ku żonie, która się machinalnie odsuwała od niego. — W Odessie o nim mówią, jako o pierwszorzędnej sile kupieckiej; zaufanie ten człowiek ma powszechne, i jestem pewny, że na słowo tysiące by mu pożyczyli. A twój ojciec, to już wyraźnie dla swego Owanesa słów nie znajduje, nazywa go swym wychowańcem, swojem dziełem, z czego naturalnie Ohana się śmieje, i nie przeczy. Polityk z niego, dyplomata, wie, czem kogo ująć można.

Przerwała mu nagle:

— A cóż go ojciec obchodzić może ostatecznie?

— No, zapewne — tłómaczył mąż, — ale widzisz, zawsze mu tam trochę na jego przychylności zależy, zwłaszcza teraz.

— Dlaczego teraz? — spytała młoda kobieta zaciekawiona.

— To ty jeszcze nic nie wiesz? Dobrze, powiem ci przynajmniej nowość, która cię więcej może zainteresuje aniżeli nasze spółki, magazyny, elewatory i tym podobne dziwolągi. Wyobraź sobie, tatko chce koniecznie wyswatać Ohanę.

Na twarzy Heleny zawisło nagłe przerażenie, gwałtowne wstrząśnienie uczuła naraz w mózgu. Zbladła. Szczęściem mąż spojrzawszy w inną stronę, zmiany tej nie zauważył, ciągnął więc dalej obojętnie.

— A domyślasz się przynajmniej z kim? Domyślasz się? zgadnij!

Z ust Heleny wyszło nawpół zdławione:

— Nie!

— Więc ei i to powiem. Tatko ma na myśli tę Józię Antoniewiczównę, twoją kuzynkę z Rubleńca.

— Józię Antoniewiczównę? Co znowu?

— A dlaczegóż nie: Ohana jeszcze młody, bogaty, przystojny, a Józia ładna, nawet piękna i również bogata, nie bardzo ona tam mądra, ale bądź-co-bądź pasują do siebie. On już tam był parę razy, koło panny się kręcił, rodzice mu są bardzo radzi, zwłaszcza zjednani przez tatkę.

Nie mogła wytrzymać—gniew pomieszany z nieokreślonym żalem uciskał jej serce. Ten ojciec stawał się dla niej w tej chwili człowiekiem okrutnym, tyranem, ciemięzcą. Już raz przed dziesięciomа laty odebrał jej Owanesa, teraz chce jej go odebrać po raz drugi. Wyrzekła więc ze źle tłumioną goryczą w głosie:

— A cóż tatkę może Ohana i jego los obchodzić; już dałby mu teraz przecież pokój.

Szymonowicz usłyszawszy te słowa, spojrzał na żonę, a dostrzegłszy na jej twarzy błysk gniewu, skrzywił się i przybladł trochę. Następnie zaś rzekł niby obojętnie:

— Tatkę Ohana naprawdę nic nie obchodzi i nic obchodzić nie powinien, ale go tatko lubi, a kogo on lubi, to wiesz, że mu wszystkiego najlepszego życzy. Zresztą idzie za ogólnym prądem, bo nikoresztskiego magnata, jak go już zaczynać nazywają, wszyscy lubią. Ma wszystkich za sobą z wyjątkiem jednego.

— Kogóż tam znowu? To też ma być niespodzianka?

— Ty wiesz nawet, kto taki, ale pewno się domyślisz tym razem lepiej.

Czoło młodej kobiety przecięła podłużna zmarszczka, a oczy błysnęły gniewem.

Powiedziała, jak mogła najspokojniej z sarkazmem w głosie:

— Przecież nie ty?

I spojrzała mężowi prosto w oczy, nie mógł wytrzymać tego nagłego, a tak natarczywego wejrzenia, więc skierował wzrok w inną stronę, mówiąc z niekłamanem zdumieniem:

— Ja, za co? Przeciwnie, ja go lubię i jestem mu nawet bardzo obowiązany za to, co dla mnie zrobił.

— Więc Stefek?

— Zgadłaś, Stefek. Nie rozumiem, za co on tak Ohany nie cierpi, prawie nienawidzi. Kiedy mówi o nim, wścieka się niemal ze złości, powtarza po sto razy jedno w kółko: czekaj, czekaj, już on was tam wystrychnie porządnie—zobaczysz.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z RUCHU UMYSŁOWEGO.

Powstających dziś kierunków literackich i artystycznych, czy zjawiają się one na północy, zachodzie, czy południu, cechą wspólną i najwybitniejszą jest dążność do zerwania wszelakich więzów formy. W tworzeniu swoboda nieograniczona, niekrępowana niczem — oto hasło.

Żadnych reguł, żadnych przepisów—woła Eugeniusz de Castro, poeta portugalski, przedstawiciel kierunku, który w braku właściwszego miana nazywany dekadentyzmem — żadnych rozgraniczań! Poezya jest malarstwem, malarstwo muzyką, muzyka filozofią i t. d.

Eugeniusz de Castro od lat 12 toruje w kraju swoim nowe drogi. W ciągu tego czasu zgrupowało się dokoła niego grono ludzi młodych, ożywionych temi samemi mniej więcej dążnościami artystycznemi. Nie stanowią oni jednak żadnej szkoły. De Castro ma wstręt do wszelkiego szkolarstwa. Żadnych metod! Niechaj każdy będzie niezależnym, niech będzie sobą. Nie starał się też on o wytworzenie jakiegoś obozu literackiego. Szedł przed siebie, nie pytając, czy inni pójdą za nim, szedł burząc zasady dawnej poetyki, nie dbając o rytm i rym. Duch arystokratyczny, znajduje on upodobanie w tem tylko, co wyszukane i niezwykłe. Wyrażenie *poezya popularna* to podług niego niedorzeczne połączenie wyrazów, które się łączyć nie dają, które zaprzeczają siebie wzajemnie. Styl dekadencki — mówi de Castro — to styl, którego nie rozumie motłoch, styl wybranych, służący do wyrażenia nowych idei, złożony ze słów, których nie słyszano jeszcze.

Co do ostatniego punktu, przesadza poeta.

Ani on, ani żaden z dekadentów nie mówią słów, których ucho ludzkie nie słyszało dotąd. Posługują się tylko zapomnianemi wyrażeniami, które czerpią ze starych poetów portugalskich. Zamarła mowa średniowiecza z nimi wraca do życia.

Pierwszy występ Eugeniusza de Castro był rewolucyą przeciwko uświęconym dogmatom literackim.

Wydając pierwszy tom poezyj swoich p. t. „Oaristos" mógł on z większą jeszcze słusznością niż Wiktor Hugo w swoim czasie powiedzieć o sobie: „Je fis une tempête au fond de l'encrier, je mis un bonnet rouge au vieux dictionnaire." W świecie literackim Portugalii zbiorek ten był przedmiotem podziwu i zgrozy. Druga książka jego zatytułowana „Horas," przesiąknięta pessymizmem, ironią, świadczyła, że autor pisząc ją, zostawał pod wpływem umysłów takich jak Heine, Nietsche, Szopenhauer. Co do tego ostatniego, przyznaje de Castro, że w młodości zamiast książek pobożnych, które mu dawano, czytywał Szopenhauera.

Poemat „Balkiss, królowa Saby" uczynił go wreszcie sławnym w kraju rodzinnym. Oryginalnością, bogactwem rytmów, zjednał sobie tym razem nawet najzapalczywszych przeciwników. Piękniejszym jeszcze ma być poemat symboliczny Sogramor. Bohaterem jego pasterz, którego rozmiłowana w nim królowa wynosi na wyżyny zaszczytów, bogactw i rozkoszy. Życie daje mu wszystkie swoje skarby, ale dać nie jest w stanie zadowolenia. Rozpacz ogarnia go, i widzi w gorączce przesuwające się przed myślą jego cienie wszystkich, którzy jak on nie znali granic dla namiętności swoich, pili z niewyczerpanego kielicha rozkoszy, i w końcu dobrowolnie pozbywali się życia, które pragnień ich nasycić nie mogło.

Sardanapal, Kleopatra, Balkiss przesuwają się przed nim. Nagle uderza myśl jego wspomnienie pierwszej miłości, i umiera w pogardzie dla rozkoszy i blasków, które nie dały mu nawet tyle szczęścia, ile tamta krótka chwila.

Eugeniusz de Castro przyczynił się wiele do wzmożenia ruchu umysłowego w swoim kraju.

W ostatnich czasach ukazała się w Paryżu ciekawa książka. Tytuł jej „Boleść cudza" (La douleur des autres), a autorem Karol Epheyre. Opowiedzmy pokrótce jej treść: Amerykanin Michael Will, właściciel dwu miliardów, zdobytych drogą spekulacyj i bezwzględnego potrącania słabszych, przychodzi do przekonania, że majątek swój winien zwrócić ludzkości. Dolary jego muszą posłużyć do spełnienia jakiegoś niepospolitej doniosłości dzieła. Jakiego, on nie wie. O tem zdecyduje synowiec jego Wiliam, którego stryj wyprawia w podróż, by przyjrzał się sprawom tej ziemi, i rozważył, co zrobić należy dla dobra ludzkości. Wiliam podróżuje, żyje boleścią cudzą, poznaje wszelkiego rodzaju nędze i niedole, i wraca przeświadczony, że wszelkie zapędy filantropii, dzieła miłosierdzia, zakłady dobroczynne, to półśrodki, nie prowadzące do celu, to krople łez, ginące bez śladu w oceanie nieszczęść ludzkich. Tylko zniesienie wojen, zaprowadzenie powszechnego pokoju mogłoby ulżyć ludziom ciężaru, gniotącego ich ku ziemi, pozwoliłoby im podnieść głowy i otwartemi oczyma spojrzeć w niebo. Temu zadaniu poświęci Will swoje miliardy.

Powieść ta naturalnie nie jest dziełem sztuki, do którego możnaby przykładać jakąś miarę artystyczną. Tu tendencya zwraca przedewszystkiem uwagę, i przyznać trzeba, że osławiony nasz i z tylu względów potępiony *fin de siècle* ma jednak pomysły wielkie, idee podniosłe, marzenia niemniej szlachetne, jak te, któremi żyli ludzie pod koniec minionego stulecia.

Na zakończenie dodać wypada, że pod pseudonymem *Charles Epheyre*, kryje się znakomity uczony, Karol Richet.

Przeciwko literaturze skandynawskiej, która od pewnego czasu stała się tak modną w Europie, podniesiono we Francyi różnego rodzaju zarzuty. Jest niejasną, mglistą, dziwaczną i niezrozumiałą — powiadają Francuzi. Objaw to wieczystej niezgody między duchem germańskim, a latyńskim. W obronie piśmiennictwa skandynawskiego, a właściwie norwegskiego, wystąpił znany pisarz Björnstjerne-Björnson.

Zarzutami odpowiada na zarzuty.

W allegorycznym obrazie ukazuje nam flotyllę, złożoną ze statków o rozmaitych barwach i banderach, które przedstawiać mają literatury pojedynczych ludów. Oto na jednym z nich, po arlekińsku przybranym chorągiewkami widnieje napis: *La goye France*. Po pokładzie statku kościotrup tańczy kankana. Ma to być wizerunek współczesnej literatury francuzkiej. Literatura ta, szalejąca i rozpasana, nosi w sobie podług Björnsona zarody śmierci i rozkładu. Zupełnie inaczej ma się rzecz z Norwegią. Tu wszystko tchnie weselem, życiem, zdrowiem, siłą. Żadnych mgieł, tu pogoda jaśnieje, tu lud niewyczerpany, nie przeżyty, tworzy rzeczy pełne werwy młodzieńczej, siły żywiołowej.

Na jasnem płótnie żaglowców norweskich widnieją wprawdzie i pasy czarne. Dwa bowiem pierwiastki przebijają od najdawniejszych czasów w charakterze Norwegów. Uosobieniem jednego z nich Harald Haarfager, olbrzym jasnowłosy, wesoły, nieustraszony—drugiego posępny skald Egiel Skallagrimson, człowiek ciemności, ponury, patrzący w otchłanie. Ale pierwiastek radości, wesela, pierwiastek biały przeważa. I na dowód podaje Björnson krótki zarys literatury norwegskiej, starając się o uwydatnienie wyżej wspomnianej cechy, która podług niego jest widać miarą żywotności każdego piśmiennictwa.

Już w powieściach i pieśniach ludowych zebranych przez Arbjörnsona i Moe—powiada Björnson, — przebija wszędzie wesołość. pogoda umysłu, jasność. To samo powiedzieć da się o znakomitym liryku norweskim, Henryku Wergelnd, żyjącym przed laty pięćdziesięciu. Sławę jego powiada Björnson — porównać można do orła, przykutego do skał wybrzeża. Po za fiordy Norwegii nie uleciała. Taki jest los poetów piszących językiem tak mało rozpowszechnionym jak norweski. Aasmund Vinje łączył w sobie dwa sprzeczne pierwiastki charakteru narodowego. Jedną połową oblicza śmiał się, drugą płakał, lub spoglądał ponuro.

On pierwszy obudził do życia stare narzecze norwegskie, uczynił je językiem literackim.

Zajmującym jest sąd Björnsona o Ibsenie, raz dlatego, że ci dwaj pisarze są współzawodnikami, stojącymi w wielu razach na przeciwnych biegunach, pojęć, zasad, wyobrażeń, powtóre, że autora „Nory" najtrudniej było Björnsonowi przed zarzutem pewnej mglistości i niezrozumiałości obronić.

Przyznaje tedy Björnson, że u Ibsena jest istotnie pewna ciemność, ale to ciemność zupełnie estetyczna, wprowadzona umyślnie dla uwydatnienia rysów jasnych. W dalszym ciągu powiada o nim słusznie, że jest to duch miłujący jednostkę, a pełen nienawiści dla społeczeństwa, burzący się ile razy jednostka ofiarą społeczeństwa się staje.

Ibsen—myśliciel, nie stoi podług niego na wysokości Ibsena—artysty. Jego znajomość życia i dusz ludzkich nie jest tak wielką, jak jego namiętność. Jako psycholog popełnia Ibsen nieraz bardzo rażące błędy, i dramaty jego są to budowle wspaniałe, ale wzniesione częstokroć na zupełnie mylnych podstawach psychologicznych. Jednym z takich dramatów jest „Nora."

Prócz Ibsena rysuje Björnson sylwetki Jonasa Lie, autora tłómaczonej niedawno na język polski „Niobe," Killanda, Hamsuna, Garborga, Kamilli Kollet, Amelli Skram i innych, mniej więcej znanych u nas.

Przeglądy francuzkie robią mu zarzut, że pozostawił studyum swoje bez żadnych uwag ogólnych, i że broniąc współziomków swoich od zarzutu niezrozumiałości, sam w wielu miejscach okazał się niejasnym i mglistym.

H. C.

Kalejdoskop Muzyczny.

II.

Libretta i libreciści.

O ile do wyjątków należy, aby poeci i powieściopisarze zwracali się stale ku jednym i tym samym tematom, o tyle w muzyce fakt spożytkowywania przez kompozytorów obrabianej już kilkakrotnie treści zdarza się aż nadto często. Samo zestawienie kilku, przygodnie wziętych tytułów oper i nazwisk ich twórców już w dużym stopniu wskazuje, że niema prawie libretta którego nie opracowywałoby kilku naraz mistrzów. Największem powodzeniem cieszyła się „Ifigenia," do której obrobienia wciągu jednego wieku przystąpiło aż siedmiu kompozytorów, a mianowicie: Campra, Gluck, Piccini, Carafa, Jomelli, Traetta, Cherubini. Nad „Armidą," prócz kilku wyżej wymienionych, pracowali jeszcze Rossini i Lully. „Faust" przed Gounodem znalazł twórcę w osobie Spohra, po Gounodzie zaś ze zmienionym na „Mefista" tytułem w współczesnym nam Boito; jako do baletu, muzykę do niego dorobił Adam, Berlioz zaś stworzył wielki poemat muzyczny pod nazwą *„La damnation de Faust."* „Manon Lescault," prócz Massenet'a i Paccini'ego, napisał Auber, baletową zaś muzykę pod ten sam temat ułożył Halévy. Szekspirowski dramat „Romeo i Julia" zilustrowany został muzycznie przez Bellini'ego (Montecchi i Capuletti), Gounod'a, Steibelta, „Otello," przez Rossini'ego i Verdi'ego. „Cyrulik Sewilski" przed Rossinim miał poprzedników w Nicolo—Isonard i Paisiellu, którego poplecznicy spowodowali, jak wiadomo, skandaliczne fiasco arcydzieła tego na pierwszem przedstawieniu w teatrze La Torre Argentina w Rzymie, 1816 roku.

Przykładów podobnych naliczyćby można całe szeregi. Opracowywanie jednych i tych samych tekstów tak dalece było w zwyczaju, że niektórzy kompozytorowie, jak na przykład niemiec Hatte, spożytkowywali sami dla siebie kilkakrotnie jedno libretto. Fakt podobny tę tylko dobrą stronę ma za sobą, że zmusza kompozytorów do większej staranności w pracy. Każdy naśladowca winien wzór swój prześcignąć, jeżeli chce, by dzieło jego zwyciężyło. „Quand on vole, il faut tuer." Maksyma ta Voltaire'a tutaj więcej, aniżeli gdziekolwiek zastosować się daje. Dziś już śmiało powiedzieć można, że „Cyrulik Sewilski" Rossini'ego zabił też samą operę Paisiellego; „Napój Miłosny" Donizettiego usunął z repertuaru utwór tej samej treści Auber'a; „Czar i Zimmer mann" Lorzinga zaćmił całkowicie pokrewną kompozycyę Donizettiego: „Obywatela z Saardamu." „Faust" Gounod'a zwyciężył „Fausta" Spohra, „Bal Maskowy" Verdi'ego tenże utwór Aubera.

Hanslick ubolewa niezmiernie nad upadkiem dwóch ostatnich oper t. j. „Fausta" Spohra i „Balu Maskowego" Aubera, przypisując im większą wartość muzyczną, aniżeli tymże utworom Gounod'a i Verdi'ego. Jest to całkiem subjektywne zresztą, przed dziesięciu laty wypowiedziane zdanie słynnego niemieckiego krytyka, którego zrzekł się on sam poniekąd w późniejszych swych pracach.

Libretto Scribego do „Balu Maskowego" pierwotnie przeznaczone było dla Rossini'ego, który, zachwycony na razie treścią tej pracy, rzucił ją następnie szybko, nie napisawszy pod tekst ani jednej nuty, skutkiem czego Scribe zwrócił się z dziełem swem do Auber'a. Ten ostatni początkowo uznał libretto za zbyt dramatyczne, wkrótce jednak posłużyło mu ono do napisania jednej z najmilszych i najwdzięczniejszych oper. Verdi, trzymając się ściśle tekstu Scribego—Aubera, musiał z powodu wymagań cenzury neapolitańskiej i rzymskiej zmienić nazwiska bohaterów oraz tytuł opery (u Aubera brzmi on właściwie: „Gustaw III czyli Noc balowa"), całą akcyę zaś, zamiast do Szwecyi, przenieść do Ameryki. Muzyka w „Balu Maskowym" należy do najudatniejszych produkcyi Verdi'ego: pełna szczęśliwych pomysłów, zdradza śmiałość, zręczność i pewność pióra. Chęć prześcignięcia Auber'a skłoniła mistrza do staranniejszego opracowania szczegółów. „Noc balowa" Auber'a odznacza się większą lekkością, wdziękiem i pogodnym nastrojem, opera Verdi'ego za to jednak posiada tę pełnię patosu, siły i energii muzycznej, cechującą w ogóle twórczość współczesnego włoskiego kompozytora.

Zdaniem Hanslicka poszukujący treści do oper swoich twórcy winni zwracać się do tekstów, całkowicie już zapomnianych i nie obrabianych oddawna. W repertuarze Opery komicznej z czasów cesarstwa francuskiego i restauracyi widzi on cenny materyał do opracowania, gdy tymczasem tragiczne poematy opery dawniejszej, jako niezgodne z obecnie panującym duchem czasu, niemogłyby według niego dziś już przynieść użytku.

We Francyi z dawien dawna przywiązywano do tekstów wagę niezmierną. Libretta stanowiły tam i stanowią wyłączną własność danej sceny i danego kompozytora, przynosząc tantiemę na równi niemal z tantiemą partytury muzycznej. We Włoszech i w Niemczech dzieje się inaczej: libretto przechodzi tam odrazu na własność ogółu, kompozytor zaś nie ma prawa protestu przeciw panującemu zwyczajowi. W ogóle po zagranicami Francyi długi czas nie miano pojęcia o takiem zjednoczeniu się wspólnej pracy libracisty i komprzytora, jaka istnieje tam od wieków. W Niemczech, we Włoszech kompozytor zdobywa sobie najczęściej przypadkiem bądź drukowany już, bądź napisany przez kogokolwiek tekst, i nie troszcząc się bynajmniej o autora, nie znając go częstokroć, dorabia do niego muzykę. Librecista zaś tworzy poemat muzyczny, nie wiedząc zazwyczaj, komu dostanie się on do rąk. Poeta i mistrz tonów znają się nieraz do końca z nazwiska jedynie. We Francyi przeciwnie, opera i libretto powstają przy ciągłem porozumiewaniu się poety i kompozytora. Niemieccy muzycy przykrawają, że tak powiedzieć można, utwory swoje ściśle do wymagań libretta, francuzcy zaś natomiast uważają je za coś żywego, za roślinę, która w ich ręku, pod tchnieniem ich rozwija się, kształtuje, przystosowywa do estetycznych potrzeb ich i wymagań.

Hanslick, opowiadając o wizycie swej w Paryżu u Offenbacha, którego pomimo niemieckiej narodowości uważa za kompozytora francuskiego, przedstawia w krótkich zarysach obraz narady twórcy z panem Crémieux, poetą, dostawcą tekstów do operet. Zasiadłszy do fortepianu, mistrz tonów odśpiewał poecie melodye, dorobione dnia poprzedniego do słów jego. W jednem miejscu brakowało mu czterech wierszy, które Crémieux natychmiast dopisał, gdzie indziej znowu wypadło mu o dwa za wiele; autor jednak, uważając je za konieczne, nie chciał ich w żaden sposób wykreślić. Powstała ztąd żywa sprzeczka, w ciągu której kompozytor walczył o dobro muzyki, poeta zaś bronił rymów swoich. Godziła ich zwykle w końcu wspólność interesów i celu, oraz przeświadczenie, że tylko połączonemi siłami coś wybitniejszego stworzyć mogą. Wymiana zdań budziła częstokroć bądź u kompozytora, bądź u poety nowe pomysły, na które żaden z nich nie byłby się zdobył, siedząc przy biurku, lub fortepianie samotnie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kongres międzynarodowy berliński

w obronie

praw i dążeń kobiety.

(Ciąg dalszy).

Pod przewodnictwem pani Jeanetty Schwerin zebrała się sekcya pedagogiczna, której obrady obudziły wielkie zainteresowanie ze strony wszystkich wogóle uczestniczek kongresu. Pani Stobble-Königsberg doktór medycyny, odczytała pracę zatytułowaną: „Historyczny rozwój pracy ręcznej kobiet niemieckich." Z założenia swojego wywiązała się pani Königsberg nietylko ku zupełnemu zadowoleniu słuchaczek, ale nadto, jak twierdzą powszechnie, traktowała przedmiot z gruntownością niemieckiego profesora.

Czasy rycerskie w Niemczech przechodzi referentka pobieżnie, nadmieniwszy treściwie, że i w tej już epoce robota ręczna kobiety niemieckiej zasługiwała na uwagę, a uczyły się jej wówczas dziewczęta młode, przeważnie po klasztorach panien Urszulinek. W czasach reformacyi nakazuje synod niemiecki już w roku 1526, aby po miastach i miasteczkach zakładano szkoły żeńskie pod nadzorem i kierunkiem kobiet nabożnych, przyczem mówi się wyraźnie w programie, aby oprócz religii zwrócono baczną uwagę na naukę czytania i robót ręcznych, a nadewszystko, aby dziewczęta przyzwyczajano zawczasu do punktualności. W nowych czasach uznano króla Wilhelma I jako ojca szkoły ludowej w Niemczech. Między wielu godnemi uwagi rozporządzeniami tego monarchy, znajdujemy jego postanowienie z roku 1817, nakazujące, aby szczególną uwagę zwrócono na te zajęcia ręczne w szkole elementarnej żeńskiej. Dalej przechodzi pani K. stopniowy rozwój tej gałęzi nauczania, a w końcu wymienia braki i niedostatki szkoły dzisiejszej; do tych zalicza się w pierwszym rzędzie przepełnienie liczebne szkół wogóle, i niedostatek materyału poglądowego.

Potem zabrał głos d r Wurm i odczytał rozprawę na temat: „Jak powinno przy pracy siedzieć nasze dziecko?" D-r Wurm twierdzi, że nieruchome siedzenie dzieci w szkole nie może być uważane jako spoczynek dla organizmu; przeciwnie zupełnie, — muskuły ulegają znużeniu, ciało zanadto chyli się ku przodowi, i zamiast pozycyi prostej otrzymujemy krzywą. Statystyka doprowadza tutaj do wniosków nader niepocieszających, a z pomiędzy środków zaradczych, wymieniają jako najważniejsze: jak można najkrótsze wogóle siedzenie dziecka w szkole i w domu, odpowiednie oświetlenie i stosowną odległość między ławką a stołem. Zwraca d r W. w dalszym ciągu uwagę, że właśnie przy robotach ręcznych najmniej obserwują nauczycielki wszystkie zalecenia lekarzy hygienistów, i porusza nakoniec kwestyą przerw między godzinami nauki.

Miss Margareta Klapperton z Edynburga omawia temat nader ważny w pedagogii, a mianowicie zwraca uwagę sfer wychowawczych, na brak pewien, którym odznaczają się wszystkie prace psychologicznej treści. Psychologia zajmuje się człowiekiem dojrzałym jedynie, a dziecko jest jej obcem prawie zupełnie, podczas gdy sfera obserwacyi ogarnąć powinna i duszę dziecka koniecznie, i że na tej drodze możnaby z wszelką pewnością oddać nader ważne usługi pedagogii zawodowej.

Zapatrywanie to podziela i popiera wspomniany przez nas, a obecny na posiedzeniu sekcyi pułkownik Egidy.

Pani Jolanta Nendtrich z Pesztu, dyrektorka tamtejszej szkoły przemysłowej żeńskiej, mówi o stanie nauki rzemiosł w różnych szkołach na Węgrzech. Sprawozdawczyni wzmiankuje o zadawalniających rezultatach pracy kobiecej w tej gałęzi.

Panna Elwira Kastner d-r, po raz drugi już na tym kongresie podejmuje kwestyą pracy kobiecej na polu ogrodnictwa wyższego. Utrzymuje ona, że kobieta może tu stawić mężczyznie konkurencyą skuteczną, i dlatego zachęca osoby płci swojej do poświęcenia się temu zawodowi, ale po raz drugi trafia na opozycyę poważną; zdaniem oponentek i ogrodnictwo artystyczne i handel ogrodniczy przechodzą siły kobiety.

Na porządek dzienny wchodzą teraz obszerne bardzo zagadnienia: Hygiena, pielęgnowanie cho-

rych i towarzystwa wstrzemięźliwości. Pominąwszy ogólniki zupełnie tutaj zbyteczne i znane wszystkim cyfry, dotyczące postępu kwestyi kobiecej w Stanach Zjednoczonych, które wygłasza miss Graham French, po raz niewiadomo już który, przejdziemy do głosu p. Liny Morgenstern, która mówi o domowem i publicznem pielęgnowaniu chorych. Co do pierwszego wychodzi mówczyni z założenia, iż wogóle młoda panna w Niemczech zupełnie nie jest przygotowaną do spełniania obowiązków żony i matki. Ta, która ma zostać wychowawczynią pokolenia, pojęcia nie ma o budowie anatomicznej istoty ludzkiej, ani o chorobach właściwych płci swojej; wogóle narzeka pani Morgenstern, że jak na dzisiejszy stan nauki, zbyt jeszcze powierzchownie, a nawet lekkomyślnie traktują się te sprawy w życiu rodzinnem. Uznanie ogólne wynagradza panią Morgenstern, która niezaprzeczenie dotknęła bardzo żywotnej kwestyi wychowawczej.

Co się tyczy publicznego pielęgnowania chorych, z tego zdaje sprawę przełożona sióstr miłosierdzia panna A. Storch, odznaczona oznaką honorową za pracę przy ambulansach w roku 1870. Mówi ona o instytucyi znanej w Niemczech pod mianem „Victoria-Haus," która istnienie swoje zawdzięcza cesarzowej Fryderykowej. Zawiązało się w swoim czasie stowarzyszenie kobiet, które z poczucia chrześciańskiego miłosierdzia postanowiło się poświęcić sprawie cierpiącej ludzkości. Temu stowarzyszeniu z okazyi swego srebrnego wesela para książęca ofiarowała 120,000 marek. Po czternastu latach, błogosławionymi prawdziwie okazały się rezultaty i tej ofiarności osobistej stowarzyszonych, i tej monarszej dotacyi. Dzisiaj wszystkie prawie szpitale Berlina obsadzone są siostrami pielęgnującemi, które w „Victoria-Haus" usposobiły się do spełniania obowiązków swego powołania.

Panna Klara Müseler z Berlina, delegowana stowarzyszenia pielęgnowania chorych i kalek w koloniach, zdaje przed kongresem sprawę z postępu tej instytucyi.

Dyrektorowa Luiza Jessen mówi o postępie w Niemczech kolonij letnich.

Od dwudziestu dopiero lat zawitała ta myśl zbawcza na ziemię niemiecką a już w roku zesz. wyprawiło stowarzyszenie olbrzymią cyfrę dzieci na letnie wakacye—cyfrę wynoszącą 23,174. Ale szczególną bardzo posiłkują się metodą stowarzyszenia berlińskie przy kwalifikowaniu dzieci. Nie przemawia tu niestety za dzieckiem ani największa nędza jego rodziców, ani najsmutniejszy stan jego fizycznego nierozwoju lub niemocy, ale jako punkt wyjścia przyjmuje się ten wzgląd przedewszystkiem, który stanowi, czy z danego dziecka daje się jeszcze zrobić człowiek. Jeżeli świeże powietrze i hygieniczny tryb życia wzmocnią go skutecznie, a po powrocie do domu nie trafi ono znowu na warunki, któreby te starania i ten nakład pieniędzy udaremniły, to i owszem. Takiego osobnika wysyła się, bo kapitał wigoru życiowego, który on reprezentuje, może w przyszłości dać swoje odsetki pod postacią mięsa dla armat, albo przetwarzając to dziecko w jakieś inne kółeczko w skomplikowanym mechanizmie społecznym. Niechajże się jednak pokaże, że tę biedną odrośl ludzkości strawiła w znacznej części choroba, albo że rodzice jego zbyt są biedni, aby nędza w którą popadnie dziecko po powrocie, nie miała zatrzeć dobroczynnego wpływu powietrza i dostatecznego żywienia, wtedy pozostawia się tych rodziców i to dziecko własnemu przemysłowi, dając do zrozumienia, że dla niego lekarzem jedynym jest grabarz w blizkiej przyszłości, a jego kolonią jakieś 10 stóp kwadratowych na trzy łokcie pod powierzchnią ziemi.

Może być, że to jest mądre jako środek państwowy zmierzający do rozgatunkowania ludzkości na godną i niegodną starań i zachodu; może być, że tym sposobem dochodzi się do wysortowania jednostek nieużytecznych, ale że to nie jest ani ludzkie ani chrześciańskie, to także pewnik niezbity.

Co do nas, to wolno nam rumienić się za to, że jesteśmy na tym i na wielu innych punktach niższymi od Niemców, ale bądź-co-bądź pocieszmy się, że nie jesteśmy tacy. Jest to wszystko zanadto spartańskie i zanadto teutońskie jak na nasze poczucie etyczne.

Doktór medycyny tajny radca Baer z Berlina i Angielka m-rs Ormiston mówią o działalności kobiecej na polu szerzenia wstrzemięźliwości. Oboje konstatują, że kobieta dostarcza alkoholizmowi bardzo mały kontyngens, konieczność, zaś jej współudziału w sprawie zwalczania tej hydry jest wskazaną przez samo jej położenie. Jakoż wątpliwości nie podlega, że pierwszą ofiarą brutalstwa mężczyzny poniżonego przez nałóg, bywa zawsze jego żona i matka jego dzieci.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZKĄD SIĘ BIORĄ PRZESTĘPCY?

Obrazek z niedawnej przeszłości.

(Ciąg dalszy)

— A coby ruszyć nie mieli,—zaprotestował jakiś przekorniejszy od innych.—Taki on dobry, jak i drugi. Jakby na to mówiący moje szkapy tyle świętowały, co Kajetanowe, toby mój Antek na nich niby tej samej sztuki nie potrafił? O jej!

— Gadacie kumie byle co. Koń koniem, a ten co na nim siedzi, to także nie od parady przecie; chłopak ma do koni taką szwarność, że na dziesiątej wsi nie uświadczy.

Rozpoczęła się sprzeczka na temat dany, a przez ten czas gromadzili się nad rowem ci wszyscy, którzy koleją dokończali swoich pokosów. Za innymi nadciągnął też i Górecki stary, a obciąwszy grzbiet trawy ostatni, i obtarłszy kosę z wody podniesionym z pod nóg pękiem ziela, wbił kosisko w grząski grunt łąki, i oparł się oboma ramionami o żelazo, aby spracowanym muskułom pożądanej folgi użyczyć. Dosłyszał i on zdala, o co się wszczął spór, i umyślnie zatrzymał się, bo mu jego ojcowska próżność bez satysfakcyi odejść ztąd nie pozwalała.

— Kajetanie — odezwał się jeden z takich, co to im najwięcej na podtrzymaniu sprzeczki zależy, — oto kum Antoni powiadają, że wasz Józiek do konia tyle wart, co i drugi. Co wy na to mówicie?

— Cóż ja mam powiedzieć? Może tyle, może mniej.

Tak mówił, ale uśmiech szyderczy zauważyli wszyscy, i to podnieciło jeszcze przeciwnika.

— O patrzajcie, jedzie Józiek. A jaki ci gadzina miniasty na tym koniu. Na psa urok! jeszczem takiego nie widział, choć mi się na szósty krzyżyk galańcie przełożyło. Ani chybi, że będzie z tego raka sołtys, zanim mu się pod nosem zaczerni.

— Sołtys jak sołtys — odparł przekora Antoni, — ale koniarek dworski to pewnikiem będzie.

— Swojego dajcie na dworskiego oparacza, kiedy wam tak smakuje, a mojego dziecka nie częstujcie tym chlebem, bo to u nas w chałupie tego nie bywało. Chwalić Boga, będzie miał dzieciak za co ręce założyć, jeśli mu Pan Jezus pozwoli dorosnąć.

— Kiedy bo u was Kajetanie to o gniew okrutnie łatwo. Chłopak gany niema, ale się mówi zwyczajnie, że czego końskie nogi nie zrobią, tego rozumem nie nadsztukuje. Niechże on tak choćby, na to mówiący, na mojego siwego wsiądzie, i wysforuje się na nim przed wszystkich.

Kajetan nie odpowiadał, a w tej chwili mijał ich właśnie Józefek, którego oczy przed tym biegiem zawadyackim ożywiały się już takim samym ogniem, jaki z nich sypał się na dźwięk skrzypców, ryk burzy między konarami drzew olbrzymich, albo łoskot fal wezbranej rzeki. Za nim zdążali oganiając stado koni chłopcy wiejscy, a w pośród nich i niemrawy 14-to letni wyrostek Antoniego na siwym, spasłym mierzynie, który zawsze o jakie kilka stai po za resztą koni zdążał z trudnością.

— Oto ich macie — razem zawołało kilku młodszych, chciwych widowiska, czy sprzeczki.— A żeby ich tak pomieniać na konie? Co wy Kajetanie na to?

W tej chwili chłopiec spojrzał ojcu w oczy; te oczy mówiły doń coś, co dziecko zrozumiało odrazu, i w mgnieniu oka osunęło się z konia na ziemię.

Tamtego drugiego niezdarę, który ani wiedział, o co chodzi, i spłoszony oglądał się ze strachem, ażali tu nie zabiera się przypadkiem na jaki doraźny wymiar sprawiedliwości — tamtego zwlekli z jego siwka, przesadzili na Józkowego konia a jeszcze teraz gapowato rozglądał on się dokoła, nie mało się do wesołości ogólnej tym sposobem przykładając. Józiek stał chwilę, powiódł okiem po obecnych, trochę dłużej zatrzymał spojrzenie na ojcu, zapłonęły mu policzki, i jak gdyby postanowienie jakieś powziął w tej chwili, nagle usłyszeli stojący nad rowem kosiarze świst ogłuszający, którego znaczenie pojęły lepiej zwierzęta, niż ludzie, bo zanim się ci ostatni opatrzeć zdołali, ruszyła skokiem czerniawa cała, ogniściej jeszcze i zapamiętalej niż codziennie, podnosząc zamiast kurzawy, opary wieczornej rosy, zaściełającej kobierzec łąkowy.

Zrazu nic nie było widać w tym zaczynającym się mroku wieczornym, ale niebawem z pojedyńczych, oderwanych wyrazów, ci wszyscy którym nie dopisywał wzrok, dowiedzieć się mogli, jak tam idzie Józkowi na tym jego popisie, w którego tryumfalne zakończenie nikt naprawdę nie wierzył, oprócz jednego może Kajetana, sądząc po jego pewności spokojnej, która zadziwiała w tym wypadku szczególnie. Z twarzy tego człowieka czytał każdy wyraźnie: „Nie bójcie wy się; jeśli tylko w tem zwierzęciu ospałem i ciężkiem jest jeszcze jaka iskra życia, to już tam on tę iskrę dobędzie z pewnością." Jakoż niebawem zaczęły się wykrzykniki.

— Patrzcie no, jakoś nie widać siwego.

— Schował się w kupę.

— I tego na niego za wiele, bo on dotąd we środku nie bywał nigdy.

— We środek wlazł, ale z niego nie wylezie.

— No jużci, że nie, to nie.

— Nie gadajcie, dyabeł nie śpi. To zawzięty rak ten Józiek.

— Dalibyście pokój. Co nie podobne, to nie podobne. Jużciż tam szkap, i nie byle jakich, znajdzie się dosyć, a na tym wole drwa chyba rąbać.

Naraz odezwał się jakiś głos młody.

— Albo ja ślepy zupełnie, i coś mi oczy przysłania, albo się przed tą kupą coś niewyraźnie bielić zaczyna.

W tej chwili tabun zakręcał w lewo równo z korytem rzeki, i kupa odwracała się do widzów całą długością swoją. Milczenie zapanowało takie, że słychać było brzęk komarów na łąkach.

— Co się ma bielić, nic się nie bieli — zaprotestował ktoś.

— Siwy! przysięgać Bogu siwy!

— Czary, czy co u biesa!

— Niechże go siarczyste!...

— Patrzcie no, patrzcie, toć on się naprzód wysuwa.

Znowu zrobiła się cisza; konie dobiegały mostu w tej chwili. Józiek odsuwał się coraz dalej, fakt zostawał faktem, jakkolwiek nikt nie rozumiał, co się stało w istocie. Jeden wreszcie z gospodarzy starszy wiekiem a ostrożny i małomówny zwykle, zaryzykował pytanie:

— No, jak tam było, tak było, ale przecie się z dyabłem nie zmówił. Koń gałgan wziął konie dobre. Powiedzcież przez co, bo jużci wszystkie nie pomgłały...

Z odpowiedzią nikt nie spieszył.

— Może wy Kajetanie wiecie?

— Co nie mam wiedzieć, wiem: konie nie pomgłały, ale dzieciom tchu zabrakło.

— A waszemu nie?

— A jemu widać nie.

Ubodło to gromadę; ten i ów radby się był przygryzkiem jakim pomścić, i już się nawet do tego zabierano, ale ich Kajetan kilku słowy pojednawczemi uspokoił odrazu.

— Daje wam Bóg dzieci; chowają się wam zdrowo, to Mu dziękujcie, a mnie tego nie zazdrośćcie, bo on mi jeden ze wszystkich pozostał.

— I on do wszystkiego taki otwarty?

— Albo ja wiem. Mnie się widzi, że on trochę niepodobny do reszty naprawdę.

Takie wyrazy, choćby je najsłuszniejsza duma ojcowska podyktowała, pozostają w pamięci, ale przyjaciół nie jednają z pewnością.

Namotała sobie na wąs i gromada Poręby to odezwanie się Góreckiego, i niejeden pomyślał sobie, że gdyby tak sposobność...

Jednem słowem, wyścig ten świadczący o wyjątkowej dzielności chłopca nie przysporzył mu przychylnych.

Jeszcze tam dzieci, rówiennicy, spoglądali na niego jako na wyższość uznaną, starzy natomiast gderali, że im zamęcza konie, że to wszystko do niczego nie prowadzi, a przytem, zepsutemu do pewnego stopnia pobłażaniem rodzicielskiem, jedynakowi zaczęto robić zarzuty, że uczy dzieci inne nieposłuszeństwa, i że do swawóli on zawsze pierwszy.

Był istotnie pierwszym do wszelkich figlów i psot, ale w okolicznościach wyjątkowych, gdy wszyscy tracili głowy, Józkowa głowina dziecinna zdobywała się często na pomysł, na który nikt oprócz niego wpaść nie potrafił.

Było to już po Wszystkich Świętych jakoś; mrozy tego roku chwyciły wcześniej, a więc jednej niedzieli po południu, na brzegu wielkiego stawu, który się ciągnął między wsią a probostwem, zgromadzonej dziatwie wiejskiej zachciało się spróbować lodu. Czy istotnie zawcześnie było jeszcze, czy tylko przy bystrej zimowej pogodzie odgrzało południowe słońce stężałą skorupę wodną, dość że jednemu z chłopców, który się najdalej ku środkowi zapędził, zaczęło nagle trzeszczeć i pękać pod nogami. Dzieciak stracił przytomność; zamiast się cofać wolno, robił skoki szalone w prawo i w lewo, a że przytem ze strachu krzyczał wiele mu sił starczyło, więc rozpierzchło się we wszystkie strony co było bliżej, a on sam ujrzał się nagle bez ratunku na wodzie, która się teraz szybko na lód wydobywać zaczynała.

Nogami zapadał druzgocąc dokoła co jeszcze połamanem nie było — jednem słowem: tonął.

Zamęt na brzegu powstał niesłychany. Co żyło we wsi wyroiło się; mężczyzni doradzali, kobiety zawodziły, tonący robił wysiłki rozpaczliwe, żeby się wedrzeć na powierznią, ale zaledwie tyle mógł dokazać, żeby utrzymać głowę nad wodą.

Tymczasem ręce mu drętwiały, sił ubywało z chwilą każdą, a nawet wzywał ratunku już coraz słabiej.

Rady wszystkich nie wiele były warte. Jeden chciał rzucić linę z ciężarem u końca, ale waga liny nieodpowiednia była do ciężaru, i na połowę nawet odległości nie doleciała. Powtórzono próby razy kilkanaście bezowocnie, a czas drogi uciekał. Ktoś chciał spieszyć na pomoc, ale się załamał, szczęściem jeszcze, że na płytkiej wodzie, i tyle tylko zrobił, że zajęto się wydobywaniem jego, a o tamtym zapomniano na tę chwilę. Matkę trzymało za ręce dwóch ludzi, bo się wyrywała siłą na pomoc dziecku. Jednem słowem: sądny dzień, jak to mówią — rozpacz!

Stał tam na brzegu z innymi i Kajetan Górecki także, wplótł on ręce w swoje włosy długie, zatargał nimi na znak bezradności zupełnej, i w końcu wzruszonym głosem zawołał:

— A jednak to wstyd i grzech dać dziecku chrześciańskiemu zginąć w biały dzień tak na oczach całej gromady!

— Wstyd i grzech — powtórzył urągliwie ktoś stojący obok. — To radźcież co, kiedyście tacy mądrzy.

— Tatulu — powiedział Józiek przyciszonym głosem, — a może jabym spróbował?

— Co ty poradzisz, co ty poradzisz — mówił stary. — Tu trza rozumu, nie twojego rozumu głupiego. Tu sposób by trzeba znaleźć.

Chłopiec spojrzał ojcu raz jeszcze w oczy, i nagle uderzywszy się w czoło, puścił się pędem, ale w stronę wprost przeciwną tej, w której smutna scena dobiegała, jak się zdawało, końca.

Mało kto zważał na tę krótką wymianę słów między ojcem a dzieckiem, ale Kajetan spojrzawszy gdzie zdążał Józiek, pojął odrazu, że albo to będzie ocaleniem, albo dziecko zginie nieodwołalnie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

TREŚĆ: Warszawa we Wrześniu 1896 roku. — Antoni Miecznik: Owanes Ohana, powieść (ciąg dalszy). — Z ruchu umysłowego. — Kalejdoskop muzyczny. — Kongres międzynarodowy berliński w obronie praw i dążeń kobiety (ciąg dalszy). — Zkąd się biorą przestępcy? obrazek z niedalekiej przeszłości (ciąg dalszy). — Ogłoszenia. — W DODATKU POWIEŚCIOWYM Andrzej Theuriet: Kwiat Nicei, przekład Bronisławy Kowalskiej (arkusz 8).

Дозволено Цензурою, Варшава 8 Октября 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**